TOMASZ PINDEL

MARIO VARGAS LLOSA

Biografia

znak

TOMASZ PINDEL

MARIO VARGAS LLOSA

Biografia

Wydawnictwo Znak | Kraków 2014

Llosowie i Vargasowie

Prawdziwa sceneria dzieciństwa to nie tyle miejsca, ile rodzina.

Zgodnie z tradycją języka hiszpańskiego każdy człowiek ma dwa nazwiska: pierwsze po ojcu, drugie po matce. Vargas to zatem nazwisko ojca, a Llosa matki.

„Vargasowie przybyli do Peru razem z pierwszą falą Hiszpanów – tak pisarz zaczyna zwięzłe podsumowanie swych rodzinnych dziejów – tą, która z Pizarrem na czele założyła Piurę, wspięła się po Andach i na rynku w Cajamarce zadała śmiertelny cios państwu Inków. Byli, jak ich przywódca, z Estremadury, z Trujillo i przejęli nazwisko, jak to się wówczas praktykowało, od lokalnego wielmoży, niejakiego Juana de Vargasa, na którego ziemiach pracowali jako podwładni i lennicy. Ludzie skromni i prości, analfabeci w większości i z pewnością surowi jak czasy, w których żyli, przyłączali się do grup zwolenników Pizarra i Almagra i bez wątpienia uczestniczyli w rozdziale ziem, w marszach i wyprawach, jako bohaterowie albo statyści wszystkich wielkich zdarzeń tworzących ten awanturniczy etap historii Peru. (…) Choć sporo z nich wyzabijało się nawzajem podczas wojen domowych i rebelii, wielu przeżyło, rozmnożyło się i rozlało po wszystkich zakątkach tego kraju, w którym po upływie wieków nazwisko Vargas miało stać się jednym z najczęściej występujących. Z jednego ze strumyczków tej obszernej hydrografii wywodzi się rodzina mojego ojca”[22].

Historia peruwiańskich Llosów zaczyna się nieco później. „Pierwszy Llosa przybył do Peru już za czasów głębokiej kolonii,

w XVII wieku – relacjonuje pisarz. – To katalońskie nazwisko, rodzina wywodziła się z miejscowości o takiej właśnie nazwie, na wybrzeżu Morza Śródziemnego, ale dawno już przeniosła się do pięknego miasteczka w górach nieopodal Santanderu [na północy Hiszpanii], Santillana del Mar. Stamtąd wyruszył Don Juan de la Llosa y Laguno prosto do Arequipy, jako wysoki oficer królewskiej armii. Zostawił licznych potomków, którzy do niedawna uporczywie trzymali się tego terytorium na południu Peru, a byli wśród nich adwokaci, księża, zakonnice, sędziowie, nauczyciele, urzędnicy, poeci, szaleńcy, a nawet pojedynczy wojskowi"[23].

Ze wspomnień Vargasa Llosy, jego publicystyki, wywiadów oraz relacji osób trzecich wyłania się bardzo wyraźnie obraz człowieka głęboko rodzinnego. Do dziś, choć pozostaje w ciągłym ruchu, wiecznie gdzieś podróżuje, a zarazem cały czas pracuje w skupieniu, pisarz zachowuje mocną więź z bliskimi: praca pracą, polityka polityką, splendory splendorami, ale rodzina ponad wszystko. Tyle że chodzi o rodzinę Llosów.

Już po powyższych krótkich szkicach genealogicznych widać wyraźnie, z kim Vargas Llosa czuł się emocjonalnie związany: czy z „mnożącymi się" i „rozlewającymi" po kraju wspólnikami konkwistadora, czy z katalońskim rodem, który wydał wiele interesujących postaci. Llosowie byli obecni na każdym etapie jego życia, to oni kształtowali jego szczęśliwe dzieciństwo, to oni okazali się schronem podczas ciężkiego okresu limskiego. Przebywając w Europie, pisarz nigdy nie stracił z nimi żywego kontaktu, tym bardziej że w końcu ożenił się z kuzynką Patricią Llosą Urquidi – i tak to trwa aż po Nagrodę Nobla: podobno ceremonia wręczenia z udziałem Vargasa Llosy była najbardziej rodzinna ze wszystkich, w każdym razie od paru dekad.

– On zawsze mówi o swojej rodzinie jako o plemieniu [*la tribu*] – zauważył Mario Rommel Arce, kiedy rozmawialiśmy w Arequipie.

Z kolei Jorge Llosa Tejeda, kuzyn pisarza, skomentował w jednym z wywiadów: „Llosowie byli zawsze tak blisko ze sobą, jakby wszyscy mieszkali pod jednym dachem. Mogli się ze sobą żenić i rozwodzić, ale zawsze trzymali się razem"[24] – i dodał, że zna przynajmniej dziesięciu członków rodu, którzy zawarli takie wewnątrzrodzinne

związki małżeńskie (drugie małżeństwo Vargasa Llosy nie było zatem aż takim skandalem, jak to się może wydawać).

– Ta rodzina była jak *ayllu* – podsumowuje Gladys Eguren Llosa, kuzynka pisarza, odnosząc się do terminu z języka keczua, oznaczającego wspólnotę rodzinną. – Wszyscy żyli bardzo blisko, dlatego wszyscy się razem przenosiliśmy z miasta do miasta.

Klan Llosów przypomina wręcz rodzinę Buendíów ze *Stu lat samotności* Garcíi Márqueza: mnóstwo różnego rodzaju międzyludzkich powikłań i cała masa fascynujących anegdot o przodkach. „Opowiadało się historię młodego oficera, bohatera wojny z Chile, oraz Llosy – wynalazcy, którego eksperymenty spowodowały powodzie, katastrofy budowlane i bankructwo pewnej firmy. I jeszcze o dziewczynie, która tuż przed wstąpieniem do klasztoru Świętej Katarzyny zakochała się w kompozytorze Dunquerze Lavalle'u, wyszła za niego i wiedli razem tragiczne życie cyganerii"[25]. Vargas Llosa miał zresztą wyraźną słabość do krewnych obdarzonych awanturniczym temperamentem: szczególnie upodobał sobie jednego z przodków, który pewnego dnia wyszedł z domu po gazetę i następnym razem usłyszano o nim dwadzieścia pięć lat później, kiedy to zmarł w Paryżu. Z krewnych, których dane mu było poznać osobiście, szczególnym afektem darzył wuja Lucha – z czasem został on jego teściem. Lucho pochwalić się mógł szczególnie barwną biografią, z hulaszczą młodością, licznymi skandalami na tle obyczajowym i podejrzanymi interesami w rodzaju handlu szampanem w Boliwii czy przemytu kauczuku z Amazonii.

Choć w klanie Llosów nie brakło oryginałów, była to jednak przede wszystkim rodzina szanowana i z tradycjami. Nie oznacza to bynajmniej, że bardzo zamożna.

– Llosowie zawsze mieli wysoką pozycję społeczną – wyjaśniał mi Mario Rommel Arce. – Szlacheckie korzenie, z tradycjami, ale bez zbytnich zasobów. Nie byli przemysłowcami, nie mieli ziem. Llosowie związani byli z administracją, z aparatem państwowym, to byli wykładowcy uniwersyteccy, urzędnicy państwowi. To dawało im pozycję majątkową klasy średniej, ale żyli ze swojej pracy, nie byli rentierami. Taka stara, tradycyjna rodzina, z dobrymi koneksjami, tyle że bez pieniędzy.

Zamiłowanie do spotkań i celebrowania życia rodzinnego sprawiło, że rodzina Llosów chętnie mówiła o sobie jako o „plemieniu". Tu zgromadzenie z okazji ślubu Patricii i Maria, maj 1965.

– Nie byliśmy zamożni – wspomina Gladys Eguren Llosa. – Po prostu normalni, pracujący ludzie.

W czasach dzieciństwa pisarza głową rodu był dziadek Pedro Llosa Bustamante. Na jednym z najbardziej znanych i reprodukowanych zdjęć z rodzinnego archiwum pozuje – jak na patriarchę przystało – z zadowoloną miną, w jasnej marynarce i ciemnym krawacie. Nad nim, po lewej, spokojna twarz żony Carmen Urety de Llosy w ciemnej sukience i ze starannie upiętymi włosami. We wspomnieniach pisarza dziadek Pedro jawi się jako prawdziwy filar rodziny: był człowiekiem spokojnym i odpowiedzialnym, nie okazywał zbytniej czułości dzieciom, wnuki i prawnuki wiedziały, że należy być przy nim cicho, ale zarazem przez pierwszych dziesięć lat życia Maria był mu tak naprawdę ojcem i szczerze interesował się jego literackimi aspiracjami oraz pierwszymi sukcesami. Był też wspaniałym mężem i rzeczywistym przywódcą „plemienia", tych wszystkich krewnych, których – według słów pisarza – babcia Carmen „przygarniała" i „adoptowała" i którzy wędrowali za nim po Peru i Boliwii. Kiedy

podpisał kontrakt na prowadzenie hacjendy w Santa Cruz, cała rodzina przeniosła się za nim do Cochabamby, a kolejne przeprowadzki także wynikały z postępów jego politycznej kariery. Kariery, w której zresztą rodzinne koneksje także miały fundamentalne znaczenie, jako że stanowisko prefekta Piury otrzymał Pedro Llosa Bustamante dzięki swemu kuzynowi José Luisowi Bustamantemu y Riverze, ówczesnemu prezydentowi Peru. Upadek prezydenta Bustamantego, obalonego przez generała Odríę w 1948 roku, oznaczał automatycznie utratę stanowiska i wówczas rodzina Llosów przeniosła się do Limy, a jej sytuacja finansowa stała się niepewna i zmienna. Brak zajęcia bardzo niekorzystnie odbił się na kondycji dziadka, który już nigdy nie wrócił do politycznej gry, i choć po upadku Odríi mówiło się o stanowisku prefekta Arequipy, nominacja jednak nigdy ostatecznie nie nadeszła.

Równie ważną postacią w historii rodu był pradziadek Vargasa Llosy, ojciec Pedra, Belisandro Llosa y Rivero uznawany za pierwszego pisarza w rodzinie (o jego powieści, zagubionej podczas licznych przeprowadzek, wspomina pisarz w swojej autobiografii). Belisandro był jedną z ważnych figur Arequipy przełomu wieków XIX i XX, a jego literackie i polityczne pasje silnie przywodzą na myśl życie prawnuka.

– Ośmieliłbym się nawet twierdzić – przekonywał Mario Rommel de Arce – że istnieje sporo… w każdym razie znacząco dużo podobieństw między charakterami Belisandra i Maria. Kiedy Belisandro umarł, pewien poeta z Arequipy poświęcił mu wiersz, w którym mówi o jego charakterze, mocnym, to był miłośnik wolności, człowiek nieustępujący w walce, broniący ważnych dla siebie spraw. To ten sam temperament, który widzimy u Vargasa Llosy i który był tak widoczny w 1987 roku, kiedy pisarz przystąpił do walki przeciw nacjonalizacji banków, a potem do kampanii prezydenckiej. To ma swoje genetyczne źródła i pochodzi prosto od pradziadka.

Obok dziadka Pedra i opiekuńczej babci Carmen ważną rolę w dzieciństwie pisarza odegrała Elvira Vargas Tudela, zwana Mamaé, w skrócie od „Mama Elvira". Była kuzynką babci Carmen i wspólnie z nią opiekowała się najpierw dziećmi, potem wnukami, a wreszcie nawet i prawnukami Llosów. Zmarła w wieku stu czterech lat, a kilka

Mamaé – wychowawczyni kilku pokoleń Llosów i pierwowzór jednej z najciekawszych postaci literackich Vargasa Llosy.

lat wcześniej straciła kontakt z rzeczywistością i była przekonana, że żyje w czasach swojego dzieciństwa w mieście o nazwie Tacna. Do tego – choć całe życie oddała dzieciom – na starość nabawiła się swoistej fobii na punkcie dzieci i wznosiła okrzyki na cześć Heroda… Spowijała ją rodzinna legenda, zgodnie z którą Elvira przeżyła niezwykły dramat miłosny: tuż przed zamążpójściem spaliła swoją suknię ślubną, odprawiła narzeczonego i na zawsze pozostała panną – z przyczyn nigdy niewyjaśnionych. Trudno się dziwić, że tak barwna postać skusiła literacko Vargasa Llosę, który poświęcił jej jedną ze swoich teatralnych sztuk – *Panienka z Tacny* (*La señorita de Tacna*).

Dziadek Pedro, babcia Carmen i Mamaé, wuj Juan i ciotka Laura z córkami Nancy i Gladys, wuj Lucho, który ustatkowawszy się,

poślubił ciotkę Olgę i doczekał się dwóch córek, Wandy i Patricii, wuj Jorge i ciocia Gaby, a także wujek Pedro w boliwijskich czasach studiujący medycynę w Chile – wszyscy oni stanowili owo plemię Llosów i wśród nich wychowywał się Mario. Ale na planie pierwszym, rzecz jasna, pozostawała jego matka – Dora Llosa Ureta, dla bliskich: Dorita.

Na zdjęciach z epoki zazwyczaj patrzy na nas z dość nieprzeniknionym wyrazem twarzy, jak choćby na fotografii z czteroletnim Mariem: spokojna, z wyraźnym makijażem, usta mocno wymalowane, oczy jakby lekko skośnawe. Podobnie na zdjęciu w stroju panny młodej z 1935 roku, z welonem ciągnącym się po ziemi i skomplikowaną kompozycją kwiatową w rękach: na jej twarzy widać przede wszystkim spokój. Na zdjęciach późnych, na przykład z lat

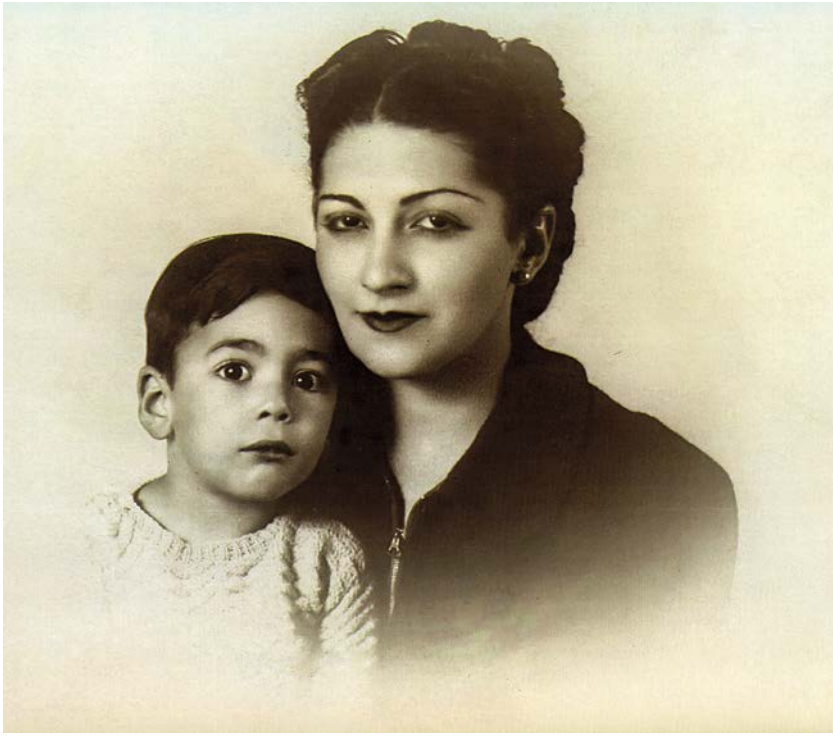

Czteroletni Mario z mamą: Arequipa, rok 1940.

dziewięćdziesiątych, u boku uśmiechniętego syna widzimy kobietę pogodną i – znów – spokojną.

Tymczasem jej życie także nadawałoby się nawet bardziej na powieść niż na sztukę teatralną, bo jest w nim coś i dramatycznego i zagadkowego zarazem. W młodości uważano ją za „wyniosłą, inną i niedostępną”[26] – jak wspomina jedna ze znajomych z lat trzydziestych – nawet w stosunku do koleżanek, a co dopiero absztyfikantów. Nazywano ją La Esfinge, Sfinks, i kiedy rozpad jej małżeństwa wyszedł na jaw, plotkom i złośliwościom – że teraz ma za swoje – nie było końca. Przez dziesięć lat wychowywała syna – acz nie można powiedzieć, że samotnie, bo przecież wspierał ją rodzinny klan – a potem potrafiła rzucić wszystko wiedziona poczuciem lojalności wobec wybitnie przecież nielojalnego męża. Wiele lat spędziła na emigracji w Stanach Zjednoczonych, gdzie imała się różnych zajęć – od fizycznej pracy w fabryce po stróżowanie w synagodze – by na starość wrócić do Limy. Jej śmierć we wrześniu 1995 roku stała się wręcz wydarzeniem medialnym: donosiły o niej wszystkie dzienniki telewizyjne, a natrętni reporterzy wpychali się z kamerami do sali, w której odbywały się uroczystości żałobne, i próbowali wydrzeć od nieludzko cierpliwego Vargasa Llosy (był wówczas *persona non grata* w Peru, jednym z głównych wrogów rządzącego obozu) „parę słów komentarza”.

Jeśli chodzi o ród Vargasów, galeria postaci okazuje się znacznie skromniejsza. Mario darzył pewnym sentymentem dziadka Marcelina, być może – co sam przyznaje – głównie dlatego, że ojciec Maria szczerze go nie cierpiał i mówił o nim wyłącznie w negatywnym tonie. Marcelino, z zawodu radiooperator, prowadził dość awanturnicze życie, angażował się w politykę, pełnił funkcje administracyjne, był deportowany, siedział w więzieniu, a kiedy zmarła jego żona Zenobia (według relacji ojca pisarza – kobieta dość surowa i udręczona), związał się z Indianką z jakiejś andyjskiej wioski, i to już był szczyt skandalu.

Ernesto Vargas Maldonado, ojciec Maria, okazał się postacią nie mniej barwną. Ale tego Vargas Llosa we wczesnym dzieciństwie wiedzieć nie mógł.

Rozpieszczony chłopiec

Z centralnego placu Broni trzeba skierować się mniej więcej na południe, ulicą La Merced, ewentualnie jakąś inną równoległą do niej, i po jakichś dwudziestu minutach marszu wzdłuż fasad parterowych w większości domów dochodzi się do alei Parra, w miejscu gdzie krzyżuje się z ulicą Salaverry. Należy pójść w dół tej alei, prawą stroną, jeśli ma się stare miasto za plecami, i po kilkuset metrach pojawia się dom pod numerem 101. Od chodnika odgradza go metalowy płot. Kiedy byłem tam w czerwcu 2012 roku, brama zamknięta była na kłódkę, za to wszystkie okna i drzwi piętrowego budynku pootwierane. Dom znajdował się w dość nędznym stanie, kupiony został parę lat wcześniej przez prywatną firmę i przekazany po noblowskim werdykcie z 2010 roku na muzeum. Jednak w kwietniu 2014 uroczyście otwarto w nim Dom-Muzeum imienia Vargasa Llosy, a samą aleję Parra ochrzczono mianem noblisty.

To właśnie w tym budynku 28 marca 1936 roku przyszedł na świat Mario Vargas Llosa, oficjalnie Jorge Mario Pedro Vargas Llosa, choć pierwsze imię jakoś nigdy się nie przyjęło. Dość długi poród odebrała słynna akuszerka brytyjskiego pochodzenia *miss* Pritchard, która towarzyszyła przyjściu na ten świat tysiącom mieszkańców Arequipy owego pokolenia.

Mario był pierwszym dzieckiem w rodzinie, najstarszym wnukiem, a do tego jeszcze pozbawionym ojca, toteż trudno się dziwić, że cała uwaga plemienia Llosów skupiła się na nim. „Mario był

chłopcem chuderlawym, zarozumiałym i antypatycznym; cała rodzina skakała wokół niego, a on miał pełną świadomość swojej uprzywilejowanej sytuacji i umiał ją wykorzystać – wspominała po latach pewna jego znajoma. – To było naprawdę nieznośne dziecko. Przyznaję, że kiedy jego matka i dziadkowie nie patrzyli, niejeden raz dałam mu klapsa albo wytargałam go za ucho. W odpowiedzi patrzył na mnie tymi swoimi wielkimi oczami – pisała dalej. – Do tego Maria cechowała szczególna i naiwna dziecięca złośliwość"[27] – ciągnie i by zilustrować ową tezę, przytacza opowieść o tym, jak to mały Vargas Llosa przewracał stawiającego pierwsze kroki chłopczyka z zazdrości o uczucia babci oraz kaprysił przy jedzeniu, podczas gdy reszta rodziny tańczyła dookoła, podsuwając mu coraz to nowe smakołyki.

Trzeba uczciwie zaznaczyć, że autorką tych słów była Julia Urquidi Illanes, siostra ciotki Olgi i pierwsza żona Vargasa Llosy, a zdania te otwierają jej wspomnieniową książkę, w której starała się wyrównać rachunki z byłym mężem. Nie jest to zatem szczególnie obiektywna relacja, ale akurat w tym, co się dzieciństwa tyczy, wtóruje Julii sam pisarz. „(…) wyrastałem na zarozumiałego i do przesady rozpieszczonego chłopca i upodobniłem się do małego potworka"[28] – stwierdza w autobiograficznej książce *Jak ryba w wodzie* i przyznaje, że matka posłała go rok wcześniej do szkoły właśnie dlatego, że nie mogła już znieść jego wybryków w domu. Z kolei koledzy z podstawówki pamiętali go raczej jako nieśmiałego i zdystansowanego. „Ten chłopiec z Peru z wystającymi przednimi zębami, który trzymał się raczej na uboczu" – wspomina jeden z nich, a drugi dodaje, że „miał długie nogi i prawie królicze zęby, był nieśmiały i spoglądał nieufnie"[29], trzeci zaś uzupełnia, iż rzadko grywał w piłkę, może dlatego, że brak mu było fizycznej krzepy[30].

Sam Vargas Llosa o swoim dzieciństwie opowiada i pisze chętnie – coraz chętniej w miarę upływu lat, co pewnie jest dość typowe – i na stronicach wspomnień oraz we wszystkich wywiadach pierwsze lata jego życia jawią się wprost sielankowo. Wiadomo, człowiek ma silną skłonność do mitologizowania tego okresu, ale też chyba rzeczywiście były to czasy i warunki dla dziecka najzwyczajniej wspaniałe.

Kwintesencję dziecięcej sielskości stanowił przede wszystkim dom w Cochabambie, przy ulicy Ladislao Cabrery. Był to parterowy

budynek z trzema patiami, bez wątpienia obszerny, bo przecież musiał pomieścić wszystkich członków klanu, których wciąż przybywało. Pierwsze kwadratowe patio porośnięte było wysokimi drzewami stanowiącymi znakomitą scenerię do zabaw inspirowanych przygodami Tarzana; wokoło ciągnęły się sypialnie. Przez ocieniony taras przechodziło się do jadalni, szczególnie tłocznej w niedzielę, dalej korytarzem docierało się do drugiego patia, przy którym mieściły się kuchnia i pokoje dla służby, a na końcu znajdowało się trzecie patio niegdyś używane jako ogród i sad, ale w dzieciństwie pisarza we władanie wzięły je już zwierzęta: koza, potem małpka i jeszcze gadająca papuga; tam też suszyło się pranie.

Oprócz mamy, dziadka, babć, cioć i wujków najważniejsze były kuzynki Gladys i Nancy, najczęstsze towarzyszki zabaw Maria, oraz służba. W domu pracowały jakieś cztery osoby, w tym poczciwy ogrodnik Saturnino, którego Mario zapamiętał z czułością, mieszkało też dwoje dzieci, sierot przygarniętych przez babcię Carmen: Joaquín i Orlando.

Dzieciństwo w Cochabambie musiało być trochę jak dzieciństwo w Bullerbyn, tyle że w kolonialnej wersji. Wspomnienia z tamtych lat układają się w ciąg atrakcji, wycieczek i świąt. Niedzielne spacery po mszy i wypady za miasto, cyrk i platoniczna miłość do akrobatki, karnawałowe zabawy, procesje w Wielkim Tygodniu i atmosfera Bożego Narodzenia (inna niż w Bullerbyn, bo przecież 24 grudnia

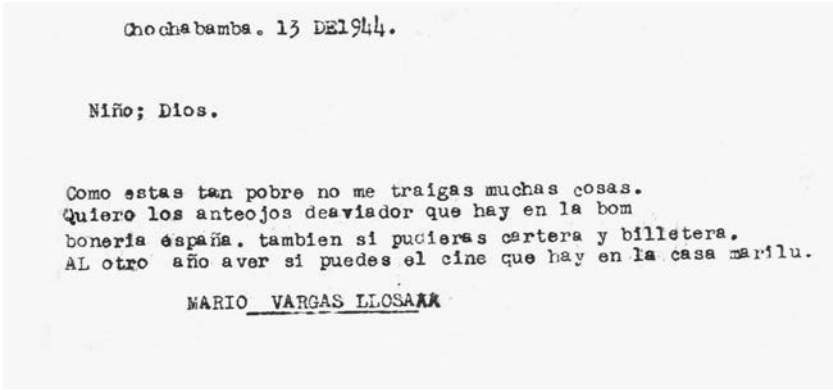

Chochabamba. 13 DE1944.

Niño; Dios.

Como estas tan pobre no me traigas muchas cosas.
Quiero los anteojos deaviador que hay en la bom
boneria españa. tambien si pucieras cartera y billetera.
AL otro año aver si puedes el cine que hay en la casa marilu.

MARIO VARGAS LLOSA

Liścik do Dzieciątka Jezus na Boże Narodzenie 1944 roku.

to w Ameryce Południowej środek lata). Wśród rodzinnych pamiątek zachował się wystukany na maszynie liścik do Dzieciątka Jezus, w którym mały Mario grzecznie prosi o lotnicze gogle oraz teczkę i pugilares, nic więcej, bo przecież Dzieciątko jest raczej ubogie. Jednak zajęciem dostarczającym najwięcej wrażeń – w każdym razie od piątego roku życia – było czytanie; o tym jednak będzie jeszcze dalej.

Rutynę życia w Cochabambie przerywały nieliczne wydarzenia w rodzaju eskapady do rodzimej Arequipy, w której w 1940 roku odbywał się Kongres Eucharystyczny. Była to pierwsza świadoma podróż Maria – pociągiem z Cochabamby do La Paz, parowcem przez jezioro Titicaca, a potem znów pociągiem do Białego Miasta – i szansa konfrontacji z miejscem, o którym tyle już od bliskich usłyszał. Tam też, zdaje się, spróbował lokalnego specjału, jakim jest zupa chupe z krewetkami, z początku z dużą dozą obawy, ale z czasem stała się ona jednym z ulubionych dań pisarza (w *Rozmowie w „Katedrze"* pojawia się kilkanaście razy).

Pójście do szkoły musiało wydać się tak rozpieszczanemu dziecku dość traumatycznym wydarzeniem. Sam pisarz po latach wspominał, że kiedy pierwszego dnia matka zaprowadziła go do Szkoły imienia Świętego Jana de La Salle i zostawiła samego w klasie, ogarnęło go dojmujące „poczucie porzucenia i samotności"[31]. Z pewnością nie pomagało to, że Mario był o rok młodszy od kolegów, a do tego jeszcze te królicze zęby… Wydaje się jednak, że dość szybko zyskał przyjaciół. Nauczyciel brat Justiniano wprowadził dzieci w tajniki pisania i czytania. Klasa trafiła mu się zresztą dość zdolna, jako że wśród uczniów znaleźli się przyszły naukowiec pracujący dla NASA, przyszły dyplomata przy UNESCO, ważny boliwijski pisarz, oczywiście laureat literackiej Nagrody Nobla, a na dobitkę jeszcze przyszły morderca. (Widać ich wszystkich na zdjęciu z 1945 roku, z czwartej klasy: Mario, zgodnie ze słowami kolegów, rzeczywiście stoi na nim z dość poważną miną i jest jednym z najdrobniejszych w klasie). Budynek La Salle znajdował się o dziesięć przecznic od domu na ulicy Ladislao Cabrery, toteż Mario już od drugiej klasy chadzał do szkoły bez asysty dorosłych, zwykle w towarzystwie kolegów, urozmaicając sobie tę codzienną podróż oglądaniem sklepowych wystaw.

„Zarozumiały i antypatyczny"? „Mały potworek"? „Nieśmiały" i z „króliczymi zębami"?
Mario z czasów szkoły im. św. Jana z La Salle.

Była to szkoła prowadzona przez duchownych, toteż aspekt religijny odgrywał w edukacji ważną rolę. Vargas Llosa wspominał potem z nostalgią fascynujące historie opowiadane przez brata Agustína, dyrektora, który z zapałem i żywo gestykulując, omawiał cudowne perypetie świętych i srogie kary spadające na grzeszników. Oczywiście ważnym wydarzeniem była Pierwsza Komunia, poprzedzona długimi przygotowaniami i zwieńczona rodzinnym przyjęciem.

Jednak dzieciństwo nie może składać się z samej słodyczy. W swoich wspomnieniach Vargas Llosa przywoływał także bardziej dramatyczne zajścia, na przykład poważną operację migdałków (choć i tu pojawia się słodka nuta, bo po zabiegu chłopcu kazano jeść bardzo dużo lodów) oraz starcie z groźnym psem sąsiada, pana Beckmanna, który to pies pogryzł chłopcu spodnie na siedzeniu – nie wyrządził wprawdzie większych szkód, ale było się czym pochwalić przed kolegami (echa tego zdarzenia pobrzmiewają w historii Kutasika Cuéllara, bohatera *Szczeniaków*, okaleczonego przez groźnego psa).

Po ukończeniu czwartej klasy Mario, w ślad za znów politycznie awansowanym dziadkiem Pedrem, przeniósł się z całą rodziną do Piury. Była to kolejna poważna wyprawa: znów statkiem przez Titicacę, postój w Arequipie, jazda samochodem do Limy, tu następny dłuższy popas i wreszcie samolotem do Talary, na północy. Chłopiec był tym wszystkim ogromnie podniecony, i to nie tylko dlatego że jak większość dzieci lubił takie zmiany: czuł się także niezmiernie szczęśliwy z powrotu do Peru. Mienił się wtedy, jak sam przyznaje, „żarliwym patriotą" i nie wiedział jeszcze, „że ojczyzna to pozbawiony znaczenia przypadek w życiu"[32] (ileż to razy w przyszłości przeciwnicy mieli wypominać mu to zdanie!).

W Piurze przyszło mu mieszkać tylko rok, ale był to rok bez wątpienia o ogromnym znaczeniu formacyjnym. We wspomnieniach z tego okresu na plan pierwszy wybija się kwestia uświadamiania seksualnego, jako że to w Piurze właśnie obalony został „mit Paryża i białych bocianów" (w hiszpańskiej tradycji bociany przynoszą dzieci właśnie z francuskiej stolicy). Wtajemniczenia, i to zdaje się bez specjalnych ceregieli, dokonali koledzy z klasy, a biedny Mario przez dłuższy czas nie mógł wyjść z szoku i obrzydzenia i nawet spowiednik niewiele umiał pomóc. Brzmi to oczywiście jak urocza

anegdota, ale też jest zapewne wyraźną oznaką, że to właśnie w Piurze skończyło się rzeczywiste dzieciństwo Maria i zaczął się wiek dorastania, znacznie mniej sielankowy.

Na razie jednak wciąż było błogo: rok okazał się – nie licząc erotycznego objawienia – generalnie bardzo przyjemny. Dziesięcioletni chłopiec miał świadomość, że jego dziadek jest ważną figurą w mieście, i chętnie uczestniczył w oficjalnych ceremoniach. Wprawdzie nie całe plemię Llosów przeniosło się na północ – rozstanie z kuzynkami Nancy i Gladys musiało być przykre, a nowe kuzynki Wanda i Patricia były za małe, by stać się partnerkami do zabawy – ale za to Mario zyskał nowych kolegów w nowej szkole. Dziadek zapisał go do salezjanów i to tu Vargas Llosa spotkał między innymi Javiera Silvę Ruetego, z którym przyjaźnił się do jego śmierci i którego znają wszyscy czytelnicy *Ciotki Julii i skryby* oraz opowiadań z tomu *Wyzwanie*: występuje tam pod swoim rzeczywistym imieniem.

(– Jak to jest być postacią opisaną w książkach? – zapytałem Silvę Ruetego, kiedy spotkaliśmy się w Limie parę miesięcy przed jego śmiercią.

– To oczywiście daje dużo satysfakcji, ale przede wszystkim dlatego że te książki napisał bliski przyjaciel. Te odniesienia do mojej osoby są bardzo przyjemne, miłe, to przecież stary druh. A teraz jeszcze dostał Nobla! – zakończył ze śmiechem).

Piurańskie rozrywki były już mniej dziecięce niż te z boliwijskich czasów. Rodzinne pikniki na plaży, wizyty u znajomych w ich hacjendzie i konne przejażdżki, kąpiele w basenie i próby wejścia na kinowy seans dla dorosłych, wycieczki na pustynne tereny pod miastem i wypady do dzielnicy La Mangachería, wreszcie wyprawy z kolegami pod owiany tajemniczą legendą Zielony Dom, w którym nie bardzo wiadomo było, co się dzieje, ale miało to jakiś związek ze wspomnianym kresem mitu bocianów.

Mario musiał być szczęśliwym dzieckiem i jeśli czegoś czasem mu brakowało – to zapewne ojca. Znał go ze zdjęcia: z oprawionego portretu patrzyła nań twarz przystojnego młodzieńca w mundurze lotnika, który wedle opowieści matki zginął wiele lat wcześniej na służbie. Pewnie Mario trochę fantazjował na jego temat, nie mógł jednak przewidzieć, że ojciec jeszcze się pojawi i bardzo zmieni życie chłopca.

Spis treści

Część I

Miasto i psy 9
Palcem po mapie Peru 24
Llosowie i Vargasowie 33
Rozpieszczony chłopiec 41
Powrót taty 48
Kompleks Edypa, który „zrobiłby wrażenie na samym Freudzie” . . 55
Życie w Leonciu Prado 60

Część II

Rozmowa w „Katedrze” 71
Redaktor Vargas Llosa 77
Ucieczka do Piury 86
Student marksista 92
Student pracujący 102
Najważniejsza rzecz w życiu 108
Portret pisarza z czasów młodości (i dzieciństwa) 125

Część III

Zielony Dom 139
Podróż do źródeł Peru 145
Jeszcze o Amazonii 151
Madryt – Paryż – Londyn 160
Sekretna historia, czyli zawód pisarza 173
Boom się rodzi 183

Część IV

Ciotka Julia i skryba 191
Ciotka Julia 199
Kuzynka Patricia (i dzieci) 213
Krótki przegląd doświadczeń erotycznych 227
Złote barcelońskie lata 232
Dla rewolucji wszystko, przeciw – nic 255

Część V

Wojna końca świata 271
Z powrotem w Peru 280
Giełda polityczna 284
Peru w płomieniach 292
Uchuraccay 299
Trzy książki o Andach (i jedna o Piurze) 310
Publicysta, polemista 322
Doktor Vargas i Mister Llosa? 328

Część VI

Jak ryba w wodzie 337
W obronie banków 340
Przygotowania do kampanii 350
Marsz po zwycięstwo 361
Japończyk w indiańskiej czapce 372
Między pierwszą a drugą turą 376
Porażka czy paradoks reformatora? 382

Część VII

Święto Kozła 387
Wróg publiczny 391

HIV albo rak, czyli dalsze dylematy polityczne 400
Pisarz celebryta 408
Wreszcie Nobel 421
Dyskretny bohater? 427

Przypisy 433
Źródła 445
Chronologiczny spis powieści i opowiadań Mario Vargasa Llosy . . 451
Spis ilustracji 453
Indeks osób 454

Mario Vargas Llosa bez grama fikcji

Tomasz Pindel stworzył doskonały portret wybitnego pisarza, polityka, ale także męża i ojca, buntownika i skandalisty, człowieka niepokornego i pełnego sprzeczności. Dotarł nie tylko do samego pisarza, ale także do jego rodziny, przyjaciół i wrogów oraz uzyskał pełny dostęp do jego osobistych archiwów. Nie unikał tematów kontrowersyjnych i drażliwych, ujawniając niepublikowane dotąd fakty z prywatnego życia noblisty.

Ta emocjonująca biografia jest lekturą wciągającą niczym powieści samego Mistrza.

Zawsze wydawało mi się, że pisanie o życiu innego człowieka zawiera w sobie dużą dozę bezczelności, zwłaszcza kiedy miałem w końcu stanąć twarzą w twarz z takim człowiekiem i powiedzieć: „Dzień dobry, pierwszy raz mnie pan na oczy widzi, ale właśnie piszę pańską biografię i chciałbym dopytać o parę drobiazgów...". Ale mówiąc szczerze, gdy o tym teraz myślę, to mam wrażenie, jakbym jednak tego nie przeżył, tylko o tym przeczytał...

Tomasz Pindel

Tomasz Pindel – autor powieści i publikacji literaturoznawczych, do niedawna wykładowca Katedry Ameryki Łacińskiej UJ. Specjalizuje się w przekładach literatury latynoskiej, jest także współautorem audycji *Piątka z literatury* (RMF Classic) i bloga poczytane.blog.onet.pl. Pracownik Instytutu Książki, współpracuje z „Gazetą Wyborczą" i „Tygodnikiem Powszechnym".

Cena 49,90 zł

ISBN 978-83-240-3179-5

9 788324 031795 >

znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

E-book dostępny na
woblink.com